

RELACJA

Leszka Kinasza

nagrana 2.06.93 w Londynie przez Tomasza Gleba

[Leszek Kinasz, ur. w 1923 roku w Równem na Wołyniu, rodzice Marian i Klaudia, nauczyciele w szkole powszechnej]

Wywieźli nas [z Równego] 16 maja 1940, to była tak zwana „wolna zsyłka” — nie byliśmy zaaresztowani, chociaż spędziliśmy jakiś czas w więzieniu w Równem. To była chyba mniejsza wywózka, o której mało kto wspomina; zwykle mówi się, że były trzy duże wywózki — a to była wsadzona pomiędzy.

Zajechaliśmy do Archangielskiej obłasti, Nieniecki rajon, **posiołek Głubokoje**. Tam były już baraki, zbudowane przez Ukraińców spod Połtawy, których tam przywieziono w 1931 roku, wyrzucono na taki pusty, wysoki brzeg i powiedziano im:

— Tu będziecie mieszkali, budujcie się.

Ich tam chyba 5 tysięcy przywieziono, do 1940 roku zostały się z tego zdaje się trzy rodziny. Oni wciąż płacili 5 procent na NKWD; my płaciliśmy 10 procent. Żałuję, że nie mam tej książeczki, gdzie wszystko było napisane.

Pyt: Pamięta Pan jakieś rodziny wywiezione razem z wami?

Nie, to pociękało mnie, niestety nie zapisywałem nazwisk. Na tym samym posiołku był pan **Wernik**, który teraz dosyć się udziela w kraju, napisał parę książek.

Jak zajechaliśmy, to z początku pracowaliśmy w lesie wszyscy, dostawało się rano piłę i ścinało się drzewa. Te pieńki były bardzo dobre i to łatwiej szło, niż by się komuś wydawało. Naturalnie w zimie szło opornie, było bardzo zimno i zarobki były marne, 6 rubli dziennie, a nie było nic za darmo — zupę w stołówce trzeba było kupić, chleb tak samo.

Pyt: Czy słyszał Pan, że w rejonie Archangielska zatopiono barki z ludźmi?

Nic nie słyszałem o tym, żadnych pogłosek nie było, ale myśmy byli odcięci od świata.

Jak przyszła amnestia, to mówiono nam, że, przestaliśmy płacić na NKWD, i że jak rzeka stanie, to wtedy przyjdzie transport i zabierze nas wszystkich. Jak rzeka zamarzła we wrześniu, to zaczęli mówić, że jak rzeka puści, to wtedy barki przyjdą i zawiozą nas do Kotłasu i dalej. W każdym razie w końcu udało nam się — ja z mamą i siostrą młodszą o 10 lat i **rodzina Chyliczkowskich** (to był leśnik z żoną i dzieckiem, drugie ich dziecko umarło) zapakowaliśmy się na sanie, które udało nam się jakoś dostać i na tych saniach powędrowaliśmy do **Homogorki** [?] 80 kilometrów. Dzieci siedziały na saniach, a reszta szła, to zabrało nam trzydzieści parę godzin. Tam złapaliśmy w końcu pociąg, który zawiózł nas do **Wołogdy**.

W Wołogdzie ugrzęźliśmy na stacji. Ogromna stacja zawałona po prostu ludźmi, którzy leżeli jeden przy drugim, bo wtedy zaczęli wypuszczać ludzi z obozów, ci ludzie prawie umierający... Pamiętam jednego, który leżał w wagonie na półce i ofiarował pół swojej porcji chleba za to, żeby ktoś mu poszedł i przyniósł chleb, bo on już nie mógł. Na stacji pokotem leżały setki, sanie jeździły w dzień i noc, wyciągali ludzi, którzy już umarli i zamarzli, wrzucali na sanie i wieźli gdzieś, potem wracali po następnych. To był makabryczny widok.

Później udało nam się dostać na jakiś pociąg i wylądowaliśmy w **Gorkim**. Przez Moskwę nie można było jechać, bo niektóre miasta były w ogóle zabronione. W Gorkim zobaczyliśmy pierwszy ślad polski, było tam jakieś biuro z orłem z koroną i był tam jakiś pan, który dużo nam nie mógł pomóc. A dowiedzieliśmy się, że ojca wypuścili i że jest w **Saratowie** w V Dywizji, i właśnie tam usiłowaliśmy jechać. On

chyba nam jedną rzecz powiedział — że w Saratowie już nie ma wojska, że wojsko już pojechało.

Był już 1942 rok, myśmy wyjechali z posiołka 2 lutego.

Musieliśmy na inną stację przez całe Gorki przejść i przez Wołgę, która tam bardzo szeroka jest. Z tej drugiej stacji zajechaliśmy do Pienzy, gdzie spędziliśmy tydzień, usiłując złapać jakiś pociąg. Tam zobaczyłem pierwszego żołnierza polskiego, jeszcze w czapce rosyjskiej, ale orzełka już miał. To był Zygmunt Szot, który już był w wojsku i jechał, żeby ściągnąć rodzinę. Po tygodniu jakoś nam się udało dostać na pociąg i pojechaliśmy przez Buzułuk, gdzie byli już Polacy, była Polska, i przez Wołgę, która ogromna była już w tym miejscu. Prawie zajechaliśmy do Ałma — Aty, a nigdzie nie mogliśmy się dowiedzieć, gdzie jest ta V Dywizja, ta z Saratowa. Minawszy Ałma — Ate zaczęliśmy jechać w kierunku Buchary, Samarkandy — i tam pewnego dnia zobaczyliśmy przy stacji maszt z polską flagą. To było Kermine. Pociąg zatrzymał się kilkadziesiąt kilometrów dalej, więc my wyrzuciliśmy wszystkie rzeczy z tego wagonu i po jakichś trzech dniach dotarliśmy z powrotem do Kermine. Tam szczęśliwie mama spotkała znajomego, który znał ojca i wiedział, gdzie on jest — V Dywizja była wtedy w Dżałabadzie. Mama wysłała telegram do ojca, no i czekaliśmy. W międzyczasie siostra zachorowała na obustronne zapalenie płuc — wzięli ją do rosyjskiego szpitala lokalnego, ale dzięki temu właśnie znajomemu mama mogła dostać dla niej lekarstwa z wojskowego szpitala. Ja chodziłem do kasyna, brałem jedzenie z kasyna i przynosiłem pod mur tego szpitala, a mama wchodziła, brała to jedzenie... Takie kombinacje.

W końcu zaczęły chodzić słuchy, że idą transporty do Persji. Od ojca niczego nie słyszeliśmy, więc zapisałem się do wojska, żeby mama z siostrą mogły jako rodzina pojechać tam [do Persji]. A w międzyczasie zjawił się ojciec, bo depesza jakoś dotarła do niego. Więc oni pojechali do Dżałabadu, a ja zostałem w Kermine. Po kilku tygodniach dostałem przeniesienie do V Dywizji.

Po wojnie przyjechaliśmy do Anglii i tutaj zostaliśmy wszyscy. Jak pierwszy raz jechaliśmy do Polski, to pani w ambasadzie pytała:

— A kiedy Pan opuścił Polskę?

To właściwie jest pytanie, które nie ma sensu — bo ja jej nie opuściłem nigdy. Przyszli Sowieci i nas wywieźli. Ja oficjalnie nie opuszczałem Polski, Polska opuściła mnie.

Pyt: A dlaczego Pan nie wrócił do Polski?

Wie Pan, jak się przeszło przez Rosję to człowiek się robi bardziej jakby uczulony na te rzeczy. Pamiętam, jak potem w czasie wojny w 1944 roku nastawialiśmy wieczorem radio i łapaliśmy Wandę Wasilewską, która aż zachłystywała się i krzyczała: „Polacy, do broni! Godzina wybiła, łapcie za broń, bijcie faszystowskich najeźdźców!” i tak dalej. I wojska [radzieckie] podchodziły pod Warszawę, a jak Powstanie wybuchło, to wszystko ucięło się momentalnie.

Pyt: Czy było coś, czego się Pan szczególnie obawiał, myśląc o ewentualnym przyjeździe do Polski?

Nie, właściwie całej mojej rodzinie udało się wydostać z Rosji, byliśmy wszyscy w Anglii (rodzice z siostrą przyjechali później z Afryki w 1947 roku). W Polsce bliższej rodziny miałem ciotkę w Krakowie, o której nie mogliśmy niczego się dowiedzieć. Dziadek mieszkał w Brodach, miał 70 lat jak wojna wybuchła, i też niczego nie mogliśmy się [o nim] dowiedzieć...

Pierwszy raz pojechaliśmy [do Polski] z żoną chyba w 1962 roku. Ale tam wszystko wyglądało tak jakoś... Przypominało znowu ten 1939 i 1940 rok, podobne było to wszystko.

Pyt: Jak by Pan to nazwał?

Czy ja wiem? Nie odpowiadał... Jak się przeszło przez [pobyt w ZSRR], to człowiek się robił uczulony na to. Widzi Pan, ja urodziłem się i do wojny mieszkałem na Wołyniu. I zawsze człowiekowi się kojarzy właśnie ten kawałek kraju, gdzie się urodził i wyrósł, z Ojczyzną, prawda? Tam nie mogłem pojechać, a jak na przykład do Lublina jeździliśmy (tam była rodzina żony), to jak się szło coś załatwić, to widziało się te typowe metody załatwiania różnych rzeczy.

Pyt: Sowieckie, przez łapówkę?

Tak, tak, te metody właśnie przypominały te stosunki, które były w 1939 roku już.

Pyt: Polska była zsovietyzowana?

Tak, tak. Jak szereg razy jeździliśmy do Austrii, to mnie zawsze uderzało, że taka by mogła być Polska. Gdyby była wolna.

Pyt: Czy jest coś w kraju [w Polsce], za czym Pan tęskni, czego Panu brakuje tutaj?

Nie przychodzi mi nic takiego na myśl w pierwszej chwili. Naturalnie znajomi i ludzie są bardzo przyjemni, i tych ludzi może brakuje właśnie, ale tutaj tak samo człowiek ma kuzynów, i przyzwyczał się do stosunków, które tutaj istnieją.

Pyt: A czy jest coś, co cechuje emigrację polską tutaj?

Tutaj wszystko podzielone jest na dwa odłamy: pierwszy to ludzie, którzy podkreślali zawsze, że są politycznymi emigrantami i nie brali paszportów [angielskich], uważali to za zdradę stanu (wzięcie paszportu angielskiego jest zresztą wygodne, ponieważ inaczej musiałbym mieć paszport konsularny; czułem się jakoś swobodniej z angielskim paszportem niż z konsularnym).

Pyt: Pan, ma już obywatelstwo angielskie?

Tak, tak.

Pyt: Zastanawia się Pan czasem, czy nie wrócić do kraju?

Człowiek się przyzwyczał już tutaj do takiego spokojnego życia.

Pyt: Polska nadal kojarzy się Panu z niepokojem?

Tak, tak. Jak się czyta prasę: „Jestem za, a nawet przeciw”. To mi się nawet podoba. Nie wiem, czy to prawda, czy on [L. Wałęsa] naprawdę tak powiedział?

Pyt: Tak. Nielogiczność jest w kraju?

Są rzeczy, które są nielogiczne, a bardzo celne. Może — nie wiem — on chciał coś przez to powiedzieć... Ale właściwie teraz ja nie widzę nikogo, kto by mógł podołać wszystkim tym zadaniom, które spadają na prezydenta.

Pyt: Dlaczego osiadł Pan akurat tu, w Londynie?

Wszyscy właściwie przyjechali do Anglii tak „z rozpędu”. Potem różni ludzie powyjeżdżali do Kanady, do Argentyny itd.

Pyt: Pan nigdy nie myślał, żeby stąd wyjechać?

Nie, nie.

Pyt: Lubi Pan Londyn?

Tak, to jest przyjemne miasto.

Pyt: A czy jest coś w Anglii, co Pana urzeka, co Pan bardzo lubi — a czego nie widzi Pan w innych miejscach?

Chyba przyjemne tutaj stosunki z ludźmi; ludzie są przyjemni. Człowiek się czuje bezpieczny.

Jak się przyjechało, to poszedłem znowu do szkoły, żeby kończyć gimnazjum, tutaj zdawałem maturę w wojsku. Później studia — był Komitet Oświaty Polskiej, który przyznawał stypendium — i tak dalej, jedno drugie pociąga...

Pyt: Inercja, tak?

Właśnie tak, często to jest inercja.

Pyt: Nie umiem sobie wyobrazić — inercja w najistotniejszych sprawach? Miejsce zamieszkania określa całe właściwie życie, prawda?

No tak, prawda. Ja jestem leniwy z natury. Jestem taki właśnie, daję się ponieść.

Pyt: Czy był moment, kiedy Pan przeżywał dylemat: wracać — nie wracać?

Jak by nie było tego PRL, to bym na pewno wrócił. Ale do takiego to jakoś nie ciągnęło.

* * *

spisała Barbara Gleb